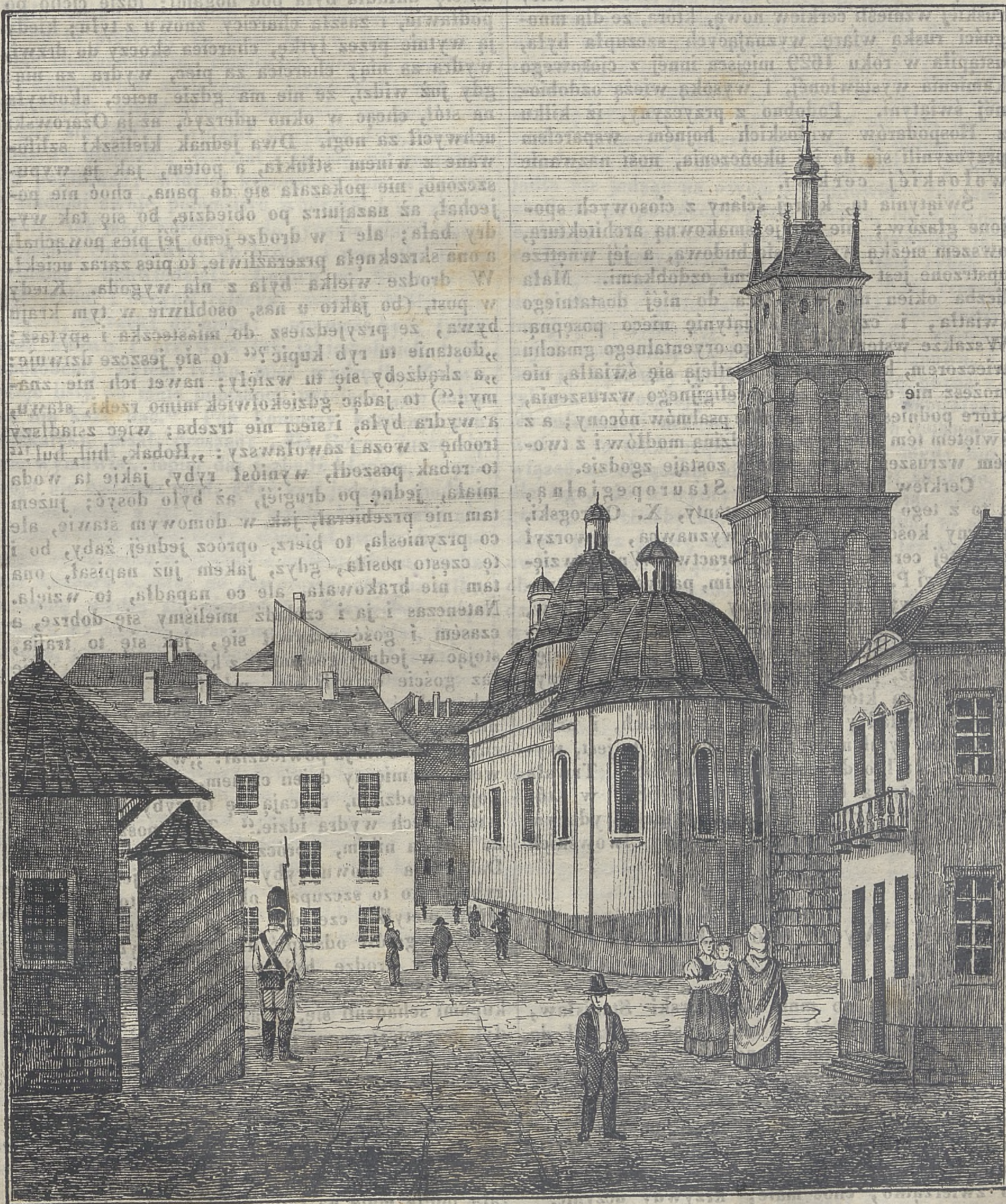
Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 43.** **Leszno, dnia 29. Kwietnia 1837.**



Wołoska cerkiew we Lwowie.

Wołoska cerkiew we Lwowie.

W czasie, kiedy Kazimierz W. Ruś czerwoną pod swoje objął panowanie, stała główna cerkiew we Lwowie w tém miejscu, gdzie dziś wznosi się piękna bazylika katedry łacińskiego obrządku.

Z rozkazu króla cerkiew ta oddaną została obrządkowi łacińskiemu; natomiast Rusini w ulicy ruskiéj wznieśli cerkiew nową, która, że dla mnogości ruską wiarę wyznających szczupła była, ustąpiła w roku 1629 miejsca innéj z ciosowego kamienia wystawionéj, i wysoką wieżą ozdobionéj świątyni. Podobno z przyczyny, iż kilku z Hospodarów wołoskich hojném wsparciem przyczynili się do jéj ukończenia, nosi nazwanie wołoskiéj cerkwi.

Świątynia ta, któréj ściany z ciosowych spojone głazów; nie celuje smakowną architekturą, owszem ciężką wydaje się budową, a jéj wnętrze upstrzone jest drobiazgowemi ozdobkami. Mała liczba okien nie wpuszcza do niéj dostatniego światła, i czyni tę świątynię nieco posępną. Wszakże wstępując do tego oryentalnego gmachu wieczorem, kiedy mnogie roztleją się światła, nie możesz nie doznać czysto religijnego wzruszenia, które podniesie śpiew na nótę psalmów nócony; a z świętém tém miejscem, z godziną modłów i z twojém wzruszeniem, w pełnéj zostaje zgodzie.

Cerkiew tę zowią także Stauropegialną, a to z tego powodu: Konstanty, X. Ostrogski, wierny kościoła ruskiego wyznawca, utworzył przy téj cerkwi roku 1551 bractwo Wniebowzięcia Maryi P., któremu Joachim, patryarcha antyocheński, wygnany ze stolicy swojéj od Turków, i znajdujący się we Lwowie, roku 1586 przepisał i ustanowił artykuły pewne do rządzenia się; a Jeremiasz, patryarcha carogrodzki, nadał przywiléj, mocą którego toż bractwo uwolnione zostało od władzy biskupów lwowskich, i przyozdobione tytułem Stauropegion, to jest, wyłączone i tylko do patryarchy należące. Trwała ta prerogatywa bractwa do roku 1687, w którym Jan III., król polski, dyplomatem, wydanym w Jarosławiu, poddał ją władzy lwowskich biskupów.

Wydra króla Jana.

(Dokończenie.)

Przyjechał do mnie Ożarowski Stanisław, ba poprostu, wespół ze mną jadąc, wstąpił do mnie. Byłem mu rad; wydra zaś, że mnie trzy dni nie widziała, przyszła do mnie, nie mogąc się nacieszyć i naigrać. Miał z sobą gość charcicę piękną, i rzecze do syna: „Samuelu, trzymaj tę charcicę, żeby téj wydry nie zjadła!“ Ja mówię: „nie turbuj się Waść, nie da sobie to zwierzątko, choć małe, krzywdy uczynić.“ Aż on rzecze: „co, Waść żartujesz, ta charcica wilka się chwyta, liszka jéj tylko raz ziewnie.“ Poradowawszy się mnie wydra, obaczyła psa niedomowego; przyjdzie do charcicy i patrzy jéj w oczy; charcica też na nią patrzy; obeszła ją do koła i powąchała ją w nogę zadnią. Odstąpiła od niéj i poszła. Ja myślę: „toć jéj już nic nie będzie czyniła.“ Jeno cośmy o czemsić poczęli mówić, aż wydra znowu wstała, co mi się układła była pod nogami; idzie cicho po podławiu, i zaszła charcicy znowu z tyłu; kiedy ją wytnie przez łytkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; gdy już widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potém, jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż nazajutrz po obiedzie, bo się tak wydry bała; ale i w drodze jeno jéj pies powąchał, a ona skrzeknęła przeraźliwie, to pies zaraz uciekł. W drodze wielka była z nią wygoda. Kiedy w post, (bo jakto u nas, osobliwie w tym kraju bywa, że przyjedziesz do miasteczka i spytasz: „dostanie tu ryb kupić?“ to się jeszcze dziwuje: „a zkądżeby się tu wzięły; nawet ich nie znamy;“) to jadąc gdziekolwiek mimo rzeki, stawu, a wydra była, i sieci nie trzeba; więc zsiadłszy trochę z woza i zawoławszy: „Robak, hul, hul!“ to robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jednę po drugiéj, aż było dosyć; jużem tam nie przebierał, jak w domowym stawie, ale co przyniosła, to bierz, oprócz jednéj żaby, bo i tę często nosiła, gdyż, jakem już napisał, ona tam nie brakowała, ale co napadła, to wzięła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasém i gość pożywił się, jak się to trafia, stojąc w jednéj gospodzie z kilkoma gośćmi. Nie raz goście dziwili się, mówiąc: „a jam kazał ryb szukać w tém a w tém mieście, a nie możno nic dostać; gdzie waćpan dostał takich ryb zacnych?“ Tom ja powiedział: „w wodzie.“ Nawet i w mięsny dzień czasem, to czeladź rzekła: „oj dobrodzieju, rzucają się tu ryby w tym stawie; niech wydra idzie.“ Tom poszedł z nią, bo ona za nikim, oprócz mnie, nie chciała iść. Daléj ona znowu ryby wynosić; jeżeli dobra ryba, jako to szczupak, okoń rosły, tom i ja sam jadł, nietylko czeladź, bo ja najlepszéj mięsnéj potrawy gotów odstąpić dla dobréj ryby. Takie z nią w drodze było tylko uprzykrzenie, że gdziem jechał, wszędzie się jéj dziwiono, i ludzie kupami schadzali się, właśnie, jakby to co z Indyi przywiezionego, i nigdy assystencyi nie było skąpo, a osobliwie też w Krakowie, kiedy jechałem przez ulicę, różnych ludzi kupa wyprowadziła mię z Krakowa. Pewnego czasu byłem u mego wujecznego, pana Szczesnego Chociwskiego; był także u niego ksiądz Śrebieński i usiadł podle mnie za stołem, a wydra, objadłszy się leżała podle mnie na ławie i spała w znak rozwaliwszy się, boto jéj najmilszy był zwyczaj w znak leżeć. Ksiądz posiedziawszy, obaczył wy-

drę, a rozumiejąc, że to rękaw, porwie ją, chcąc obejrzéć; wydra przebudzona, okrutnie zaskrzeczała, uchwyciła go za rękę i ukąsiła; ksiądz z bólu i z przestrachu zemdlał, i ledwie się go dotrzeźwiono. — Gdy już Straszewski widział owéj wydry przymioty, obaczył téż i inne myślistwo moje, jakoto: zwierzyniec ptaszy, który miałem zbudowany, kratami drótowemi nakryty; a w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, jakie tylko w Polsce mogło się znajdować, gniazda robiło i lęgło się na drzewkach tam posadzonych, a nietylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale i inne cudzoziemskie, cokolwiek mógłem przybrać i zkądkolwiek zaciągnąć. Straszewski był téż natenczas, kiedy ptaszki siedziały na gniazdach i gdy się lęgły; widział wszystko i to, że mię ptastwo słuchało; widział, że się na gniazdzie da pogłaskać; widział kuropatwy tam wylężone i stadami swoje potomstwo wodzące, i na zawołanie, tak jako kurczęta, do sypania ziarn idące. Pojechał Straszewski do króla, i wszystko to co widział, opowiedział. Ledwo co Straszewski przyjechał i uczynił relacyą, wzięła króla taka chętka, iż rzekł do niego: „nie może być; tylko jedź znowu i przywieź już jakimkolwiek bądź sposobem, bylem tylko miał wydrę.“ Znowu więc listy do mnie popisano, pytając: „co sobie za nią każe dać.“ Pan koniuszy koronny, pan Piekarski, pisał, prosząc: „dla Boga, jużże się nie wymawiaj, lepiéj daj i zbądź kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król jedząc, chodząc i śpiąc tylko o téj wydrze myśli, która, żeby nie miała żadnéj przeszkody, darował swego kochanego rysia panu wojewodzie malborskiemu, ptaka zaś kazuara odesłał do Jaworowa, aby już tylko z samą wydrą się cieszył.“ Przyjechał więc znowu na odwrót Straszewski, listy oddał, i powiada, jako król wdzięczen obietnicy, bez któréj tęskni i prosi, mówiąc: „kto prędko daje, dwa razy daje;“ w listach piszą obietnice srogie; Straszewski mi powiada, że król chciał posłać pieniędzmi ukontentowanie, ale pan Piekarski powiedział: „Miłościwy królu! darmo tam pieniądze posyłać, bo ich nie weźmie; u tamtego ślachcica fantazya dobra i pewnie tego nie uczyni; ale takby co posłać, cobyto polityczniéj wziąć.“ Posłał tedy król do Jaworowa po dwa konie tureckie, żeby mi je przyprowadzono, (a konie tam bardzo piękne,) i kazał je oddać wraz z bogatém wsiadaniem. Ja zaś powiedziałem, że nietylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bobym się tego wstydził, za tak nikczemny podarunek takie odbierać honoraryа. Wyprawiłem tedy wydrę na nową służbę: bardzo niewdzięcznie przyjęła tę wyprawę na nową służbę, bo piszcząc i wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali, ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jéj żal było; w drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę na równinie, żeby się nie skryła, wypuszczali ją kilka razy do wody, dla ochłodzenia i ucieszenia swojéj natury, ale, po staremu, i to nie pomogło, bojednak pisku i wrzasku poddostatek. Stęskniło się i znikczemniało to zwierzątko, i przywieziono je królowi tak, jako sowę odętą. Niezmiernie król był rad, widząc wydrę, i rzekł: „stęskniło się to zwierzątko, ale się to obaczy.“ Komu ją każe pogłaskać, to go wydra za rękę. Król rzecze: „Marysieńku! odważę się ją pogłaskać ją.“ Królowa perswaduje żeby niechał, aby nie ukąsiła; on przecie, usiadłszy podle niéj, jak ją na łóżku posadzono, sięga do niéj powoli ręką, mówiąc: „jeżeli mię nie ukąsi, to sobie będę miał za dobry znak; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza; pisać tego nie będą po gazetach.“ Pogłaskał ją tedy; wydra jeszcze mu się przychyliła. Król bardzo się tém ucieszył i więcéj ją począł głaskać, a potém jeść kazał przynieść i dawał jéj po kawałku, a ona jadła nie jedząc na owém złotogłowiu. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniéj, i była tedy dwa dni; postawiono jéj wody w naczyniach, napuszczano tam rybek i raków, to się cieszyła i wynosiła. Król rzecze do królowéj: „Marysieńku! nie będę jadł jutro innéj ryby, tylko tę, którą mi ta wydra ułowi; pojedziemy jutro, da Pan Bóg, do Wilanowa, i tam ją będziemy próbować, jeżeli się pozna z rybami.“ Posyłając królowi wydrę, napisałem też informacyi arkusz, jak z nią mają postępować; i to także napisałem, żeby jéj nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję, dla tego, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, by choćby najciaśniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdejmie. Tak się też stało; uwiązali ją za obrączkę; wydra zdarła z siebie obrączkę z dzwonkami, wyszła, łaziła po schodach przez noc i wyszła jakoś i na dwór, jakto w tęskności, bo nauczyła się u mnie chodzić, gdzie chciała, bobrować sobie po stawach, po rzekach, póki się jéj podobało, według swojéj natury, i przyjść według zwyczaju do domu. Ścieszkami zatém gdzieś poszedłszy, błąkała się owa wydra nie wiedząc, gdzie się obrócić. Skoro rano spotkał ją dragan, a nie wiedząc co to, czy chowane, czy dzikie, uderzył berdyszem i zabił. Wstaną w zamku, wydry nie masz; krzyk, skweres srogi; rozesłano po mieście i z prośbą i z groźbą, ktoby się ważył, znalazłszy, nie oddać. Aż tu idzie żyd podróżny pinczowski, a dragan tuż za nim po zapłatę za skórę zabitéj wydry. „Co to masz żydzie?“ pyta go szwajcar. (A żyd w kieszeni trzyma rękę.) Zajrzy mu szwajcar pod suknię, aż tu skóra słomą napchana. Wzięto zaraz i żyda i dragana, i przyprowadzono przed króla. Spojrzy król na skórkę, zatka oczy jedną ręką, a drugą porwie się za czuprynę i pocznie wołać: „bij, kto cnotliwy! bij, kto w Boga wierzy!“ Wrzucono obudwu do wieży i ukarano według przestępstwa, i postanowiono, żeby dragana rozstrzelać kazano. Przyszli jednak do króla księża spowiednicy, biskupi, perswadując i prosząc, że nie zasłużył śmierci i nie-

wiadomością tylko zgrzeszył; ledwoć dokazali, iż go nie kazano rozstrzelać, i skończyło się na tém, że mu w skórę dano. Tak więc owe srogie pociechy obróciły się w wielki smutek, bo król przez cały dzień nie jadł i nie gadał z nikim, a cały dwór był jak powarzony. Takci i mnie pozbawili tak kochanego zwierzęcia i sami się nie nacieszyli, i jeszcze sobie turbacyi przyczynili.

Elegia i jéj pisarze.

(Koniec.)

Z dawnego poematu: Wyprawa Igora na Połowców, któreby całe można nazwać Heroidą, jest żal Jarosławny pierwszą elegią; przełożył tę piękną poezyą z małoruskiego na język polski Cipryan Godebski; lecz stósując się za nadto do nowoczesnego smaku, oryginalność téj poezyi osłabił. Świeży i lepszy przekład tego poematu mamy przez Bielowskiego. Sarnicki w swojéj historyi (Annales Regni Pol.) wspomina pod r. 1506 o dumach, które na śmierć dwóch walecznych młodzieńców, braci Strusiów, w wojnie wołoskiéj poległych, na Rusi śpiewano, i takie tym dumom nadaje cechy, jakie są właściwe elegii. Elegie łacińskie Klemensa Janickiego, tłumaczone przez Urmowskiego, ledwie do poezyi narodowéj policzyć można, i tak, ile razy nam przyjdzie skreślić historyą którego rodzaju poezyi, zawsze zaczynać musimy od Jana Kochanowskiego, który jest jéj ojcem. I elegią znajdujemy najpierw u tego poety, któryby mógł był stać się prawdziwie wielkim, narodowym, oryginalnym poetą, gdyby nie poszedł ubitą, a błędną (?) drogą owego wieku naśladowania starożytnych klassyków; gdyby się był nie na obcych, ale na narodowych kształcił poezyach. Lecz pomimo tę wadę wieku, przebija wszędzie w Kochanowskim oryginalność narodowa, i tam on nam najmilszy, gdzie jest najwięcéj narodowy; poezye jego, tym duchem tchnące, najlepiéj nam się dotąd podobają. Do rzędu tych należą jego elegie, pod nazwą trenów, czyli żalów na śmierć swéj córki Urszuli. Elegie jego łacińskie, miłośnéj treści, nie są tworem prawdziwie wieszczego ducha; widać w nich sztukę i imaginacyą, erudycyą grecką, ale nie poezyą, i dla tego nie mogą iść w porównanie z trenami na śmierć Urszuli, które, mimo upłynione wieki, tak są jeszcze znane, tak są lubione. Są one jego arcydziełem, bo je w własném wynalazł sercu; nic tam niema naciąganego, sztucznego, obcego; każdy czuje żal ojca szczery i pełen prostoty. Elegią przybrał w żałobną szatę, bez żadnych ozdób, niema w niéj innego uczucia, tylko ojcowskie, innego obrazu, tylko córki, innéj sceny tylko kąty izdebki, które „ciesząc rodziców zawdy obiegała.“ — Jak każde arcydzieło, tak i treny Kochanowskiego znalazły u nas wiele naśladowców. Stryjkowski, Gruszczyński, Kmita, Gawiński, Twardowski i Morsztyn, poeci żyjący przed Stanisławem Augustem, pisali treny w różnych, a najbardziéj w podobnych Kochanowskiemu przedmiotach. Twardowski, nadęty w pieśniach, zachował przecież w trenach na śmierć córki tok rzeczy właściwy. Zimorowicz jest po większéj części elegicznym w swoich sielankach. Żale Orfeusza po stracie Eurydyki, z powodu śmierci małżonki Franciszka Zabłockiego, przez Kniaźnina tkliwie i ze smakiem napisane. Mniéj był Kniaźnin szczęśliwy w elegiach łacińskich. Karpiński w tkliwych swych poezyach, najwięcéj na imię elegicznego poety zasłużył. Powrót z Warszawy na wieś, duma nad grobem Zygmunta Augusta, są wzorem elegii narodowéj. Obok tychże dumy historyczne Niemcewicza, wiosna i inne elegie, opiewające przygody nieszczęśliwe ojczyzny, które poeta dzielił długo, pięknymi pomnikami poezyi narodowéj pozostaną. Lecz w elegii patriotycznéj Woronicz nad wszystkich celniejszy, głosem mocnego, pełnego żalu, a częstokroć rozpaczy, albo uroczystego wielkiego smutku śpiewał.

W. A. W.

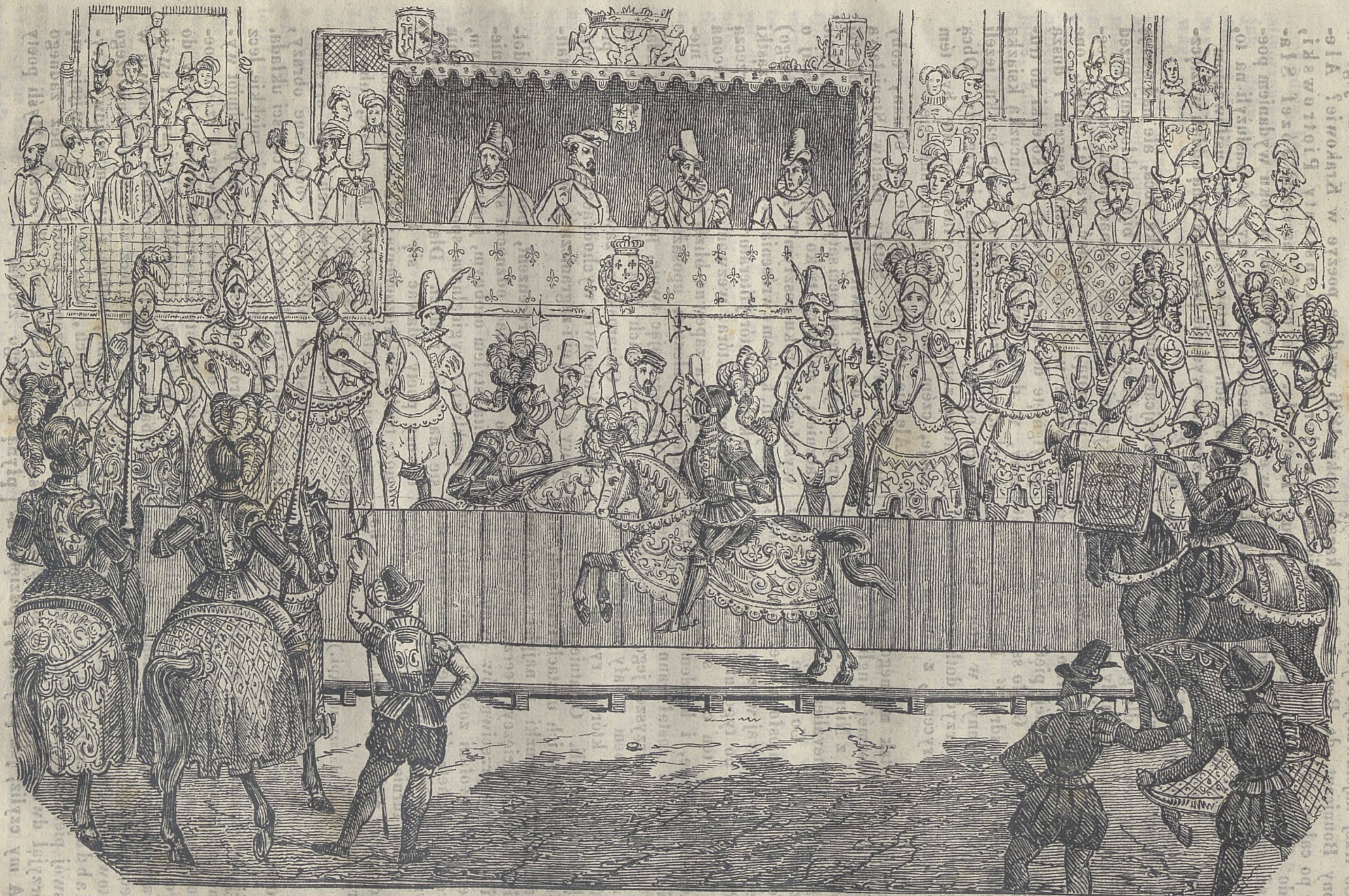
Turnieje.

W Numerze 31 Przyjaciela Ludu z roku 1836 znajduje się dokładne opisanie turniejów; tu więc tylko niektóre szczegóły dodamy.

Turnieje wtenczas właśnie były największe i najwspanialsze, gdy rycerstwo w istocie upadać zaczęło, gdy poczuło, że potrzebuje podpory. Zbytek towarzyszący zwykle tym uroczystościom, przyczynił się także do przyspieszenia jego upadku ubożąc majętnych, a nie dopuszczając uboższym rycerzom wstępu do szranek. Było zaś prawo przestrzegane surowo, że, czyja familia przez lat 50 nie walczyła na żadnych turniejach, potomkowie jéj potém do żadnych już przypuszczani nie byli.

W roku 1311 król duński, Erich, wyprawiał wielkie turnieje w mieście Rostoku, na które tyle zebrało się rycerskiéj szlachty, że mieszczanie lękali się im otworzyć bram miasta. Musieli więc obozować na polu, pod namiotami. Turnieje trwały cztery tygodnie. Wszyscy, nie tylko rycerze, ale i słudzy, i prości widzowie, których do 6000 liczono, mogli jeść i pić, co im się podobało, kosztem królewskim. Dwie fontanny wina i piwa wytryskały dzień i noc w środku obozu. Dla koni usypano w pobliżu ogromną górę owsa. Przed rozpoczęciem turniei, król Erich [dla 19 xiążąt i 80 szlachty - rycerzy] posłał każdemu w podarunku szkarłatny płaszcz, złotem bramowany kaftan, konia, tarczę i miecz, wszystko od złota i drogich kamieni.

Najciekawsze opisanie turniejów, znamionujące całkiem ducha wieków rycerskich, czytamy w historyi życia sławnego Boucicaut. Przy końcu



Turnieje, w roku 1389 odbyte w Calais. (Podług starego ich obrazu.)

roku 1389 trzéj najsławniéjsi rycerze francuzcy, pomieniony Bounicaut, de Roye i Sampy kazali obwołać po całem chrześciaństwie, że od dnia 20. Marca do 20. Kwietnia następującego roku, znajdować się będą w polu między Calais i Boulogne, i wystąpią do szranek przeciwko każdemu, coby chciał walczyć z nimi, rycerzowi. Sami własnym kosztem opatrywali przybywających we wszystkie potrzeby i wygody życia. Obszerna przestrzeń, okryta była bogatemi namiotami, przygotowanemi dla gości; w pośrodku stało drzewo, na którém każdy z trzech bohaterów, jednę tarczę pokoju, i jednę wojenną zawiesił. Obok pierwszéj tkwiło w ziemi pięć kopij tępych, obok drugiéj pięć ostrych; nad tarczami herby i godła. Godło samego Boucicaut było: „Ce que vous voudrez.“ Na drzewie zawieszony był róg wojenny, w który każdy z przybywających miał uderzyć, dotknąwszy wprzód drzewcem tarczy tego rycerza, z którym spotkać się żądał.

Skoro się wieść tak mężnego wzywania po Europie rozniosła, z saméj Anglii przybyło 120 rycerzy, z Hiszpanii i z Niemiec tylko 40. Trzéj trzymający pole [Chevaliers tenants] walczyli koleją ze wszystkimi. Co dzień około 50 kopij kruszono. Wielu odniosło niebezpieczne rany; a między nimi sami dwaj wyzywacze, Boucicaut i de Roye, tak, że po tygodniu w łóżku leżeć musieli. Przez cały ten czas sam jeden Sampy zastępował ich miejsce, i każdemu pola dotrzymał. Nakoniec sam został ranny, ale dopiero wtedy, gdy już towarzysze jego powrócili do zdrowia. Tym sposobem trwały ustawne walki przez cały miesiąc, w których rycerze francuzcy zwycięzko kroku dostali. Ostatnie trzy dni przepędzono na przyjacielskich ucztach i tańcach, na które sam król francuzki i najpierwsze damy przybyli. Trzéj zwycięzcy rycerze, przez króla, Damy, i samychże przeciwników swoich, kwiatem rycerstwa obwołani zostali: i aby zarówno z męztwem i szlachetność swoję okazać, nie tylko że powrócili zwyciężonym ich konie i oręże, które z prawa turniejów stawały się własnością zwycięzcy, lecz nadto każdemu na pamiątkę bogate dary przydali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Słówko o poezyach J. A. Olizaroskiego.

Z téj obojętności, z jaką przyjmujemy dary poetyczne nowoczesnych pisarzy polskich, wnosićby potrzeba na wielkie naszego piśmienictwa bogactwo. Kto pełny skarbiec posiada, kléjnocik jeden, acz niepowszedniego blasku, nie będzie jemu rzeczą wielkiéj wagi, ani mu wielkie sprawi ukontentowanie. Przecież Henryk V. rzekł grzecznie Habdank rycerzowi, co do skarbu cesarskiego swój pierścionek dorzucił; przecież i Jagiełło przyjął dwa miecze przesłane mu od Krzyżaka. A my czyliż, jak przystało, podziękowaliśmy Panu T. A. Olizaroskiemu za jego w roku 1826 wydane poezye w Krakowie? Alexander Groza, Konstanty Piotrowski, Leon Hr. Potocki, nareszcie Józef Sławecki, którzy w zeszłym roku wydaniem poezyi zbogacili literaturę, czyż nie zasłużyli na to, abyśmy ich talentowi hołd, ich usiłowaniom łożonéj na wydanie pracy, należną oddali wdzięczność?

Szwajcara ubawi piosenka obca, ale nad swoją tylko zapłacze; Polacy biją pokłonami przed Rassynami, Hugonami, Lamartynami, swoich poetów nieznają, ani poznać pragną; Polki, one po świecie wychwalane Polki, sercem i duszą przylgnięte do francuzczyzny, od kolebki do trumny, w domu i w kościele z francuzką książką w ręku, na każdą, w innym pisaną języku, jeżeli rzucą okiem, to politowania i wzgardy. Obcą literaturą zajęte i syte, własna im się być tém zdaje, czém jest musztarda po bankiecie.

Ale nie urodził się jeszcze ten bocian, coby oczyścił ten świat. Satyry poetów Stanisława Augusta nie naprawiły podobno nikogo, dla téj przyczyny dzisiejsi poeci satyr nie piszą. I my jéj nie zaczniem, pokrótce tylko napomkniem dzisiaj o wyszłych w roku zeszłym T. A. O. (lizaroskiego) poezyach, końcem zwrócenia na nie uwagi téj cząstki mieszkańców, któréj literatura własna nie jest rzeczą obojętną; a która, wezwaniem naszém zachęcona nie omieszka zapewne bliżéj poznać nowego, nie-pośledniem talentem uposażonego poetę.

Nie narzucając swoje, powtórzymy tylko zdanie o powieściach Zawerucha i Bruno, w zbiorze poezyi P. Olizaroskiego zawartych, które w piśmie w Warszawie wychodzącém: Panorama literatury krajowéj i zagranicznéj, w N. IV. czytaliśmy.

Poeta, mówi recenzent, posiada wyższą zdolność do tworzenia; odznacza się kompozycyą niepospolitą, stylem osobnym, jemu tylko właściwym, a osobliwie oryginalnym sposobem zapatrywania się na świat i ludzi. Dla wielu z czytelników utwory poety zdawać się będą zadziwaczne, a może trudne do zrozumienia; dla innych nieokrzesane, niegładkie; lecz nikt nie powie, aby na nim wrażenia nie zrobiły.

W obydwuch tych utworach wiele oryginalności, wystawa malownicza, oderwane obrazy, które myśl czytelnika zszywa i do całości układa. Styl wszędzie jeden, wyrażenia nie miękkie, lecz zawsze surowsze, bez względu na przedmiot wystawiony i osoby mówiące. Powtarza często poeta niektóre zwroty i harmonią mowy, jakby do jednéj tylko formy i dźwięku przywiązywał swoje upodobanie. Wogóle uczucie mało przemawia w poezyi p. T. A. O., lecz za to wyobraźnia czego się tylko dotknie, maluje z życiem w nowych rysach i kolorach, tak, że rzadko nawijają się obrazy rozwleczone, podrobione, bez żadnego światła, jak gdyby nie dla oczu. Myśli poety płyną z jednego źródła.

Ludzie, których nam wprowadza, są bardziéj stworzenia poetyczne jak rzeczywiste; świat poety, jak gdyby nie był światem lecz malaturą, chociaż w jego pięknościach dusza czuje, iż jest jéj wypadkiem i żywiołem. Kto bez głębszéj rozwagi zbliży się do tych poematów, czuć tylko będzie jak gdyby smak z ostrych, cierpkich, kwaśnych, gorzkich soków, i nic dla siebie przyjemnego nie obaczy; im więcéj jednak wpatrywać się i kosztować zechce, tém więcéj ujrzy wdzięku i słodyczy poczuje. Dla bliższego poznania poety, umieszczamy jeden z powieści Zawerucha wyjątek, który autora naszego bezchybnie dobrze zaleci przyjaciołom prawdziwéj poezyi.

(Pieśń do tego artykułu w przyszłym numerze.)

Maciéj Kazimierz Sarbiewski.

Urodził się w Sarbiewie, w staro-dawném gnieździe domu swojego, o milę od miasteczka Płońska, w województwie płockiém, roku 1595. Ojciec jego był Mateusz Sarbiewski, mąż znamienity; matka Anastazya Milewska. W młodości oddanym był na naukę do szkół pułtuskich, wstąpił do zakonu Jezuitów roku 1613, i kurs nauk odbywszy, został w wileńskiém kollegium professorem wymowy, zkąd w roku 1623 do Rzymu się udał, mając się całkiem teologii poświęcić; lecz mimo żarliwéj bogobojności, którą był przejęty, skłonność do poezyi brała nad innemi górę, i w téj niepospolitym swym talentem celując, napisał pierwiastkowo następujące dzieła: Wiersz na pochwałę Jana Karóla Chodkiewicza, hetmana; tegoż zwycięstwo pod Chocimem roku 1621 w pieśni: Dives Calesus — Oda księgi I. Creditis Jo! credite posteri; druga: „Moscua cur iniquis.“ Niektóre także pieśni na pochwałę Eustachiego Wołowicza, biskupa wileńskiego i brata jego Hieronima, starosty żmudzkiego. W roku 1622 jadąc do Rzymu opisał wierszem podróż swoję, i jako niedaleko Bamberga od łotrów złupionym został z towarzyszami, a ci byli Jan Grużewski, Jędrzéj Rudomina i Mikołaj Zawisza. W Rzymie stanąwszy, pisał do Mikołaja Kmicica, gdzie o śmierci Zawiszy donosi. Tam będąc, cokolwiek mu czasu od nauk teologicznych zbywało, łożył na ulubione poezyi zabawy. A gdy w czasie upału zamknięte były szkoły, on tę porę odetchnienia za naleganiem przyjaciół obracał na powtórzenie lekcyi krasomówskich, które w Wilnie był dawał i w ówczas pismo swoje „de acuto et arguto“ zgromadzonym tłumaczył. Wzniosła się wkrótce sława jego, i zyskał powszechny uczonych szacunek; na ich czele zaś Urban VII., papież, biegły w rymotwórstwie, jako dzieła jego wielokrotnie podane do druku przyświadczają, uwieńczył Sarbiewskiego laurem poetyckim. Wdzięczen łaski i względów Urbana VIII., aż nadto dzieła swoje jego pochwałami zagęścił. Trafiło się, iż w przytomności papieża opowiadano świeżo zdarzony przypadek, jak ojciec własne dziecię w Tybr wrzucił, a pies wskoczywszy w wodę, żywe i zdrowe na brzeg wyniósł; natychmiast zdarzenie takowe w dwóch wierszach zamknął:

„Projicit in Tiberim puerum pater, at canis effert,
„Hic gerit officium patris, at ille canis.“
(Ojciec dziecię w Tybr rzuca, pies wynosi zdrowe,
Tamten psie dzieło sprawił, ten sprawił ojcowe.)

Zamyślając Urban VIII. niektóre hymny pacierzy kapłańskich poprawić, używał w téj pracy Sarbiewskiego; jak wieść niesie hymn, który się od tych słów zaczyna: „Ad regias agni dapes“ zupełnie przez niego przerobionym został. Gdy mu się przyszło rozstawać z Urbanem VIII., prosił o błogosławieństwo; papież zawiesił mu na szyi złote numizma z wyobrażeniem swojém. Wyznaczony professorem krasomóstwa w akademii wileńskiéj, uczył prócz tego filozofii i teologii w zakonie roku 1627. W ów czas pisał Epithalamium Albrechtowi, xiążęciu Radziwiłłowi, idylle i epigrammata. W roku 1630 wyszła sławna pieśń jego: „ad equites polonos.“ Godna tu wzmianki okoliczność, iż w czasie uroczystości w Wilnie [a nie w Warszawie, jak twierdzi Bohomolec, biograf Sarbiewskiego], gdy Sarbiewskiemu dawano kapelusz doktorstwa teologii, przytomny tam król Władysław IV., chcąc jakowym sposobem nadzwyczajnym talent nadzwyczajny męża uświetnić, własny pierścień z palca zdjąwszy, Sarbiewskiemu go ofiarował; dar dającemu jako też odbierającemu niemniéj przynoszący chluby. Powołany do dworu tegoż króla, gdy urząd kaznodziejski sprawować musiał, skarżył się przed Stanisławem Łubieńskim, iż to go odstręczało od innego rodzaju pracy; co było powodem Langbeinowi, komentatorowi Sarbiewskiego, do mylnego i nader śmiesznego argumentu. Pisać bowiem zaczął Sarbiewski poemat heroiczny pod tytułem: Lechias, z którego ułomek, z kilkuset wierszy tylko złożony, do potomności przeszedł; rękopismu reszta zaginęła. Langbein zaś podaje za przyczynę nieukończenia Lechiady, że Sarbiewski musiał się uczyć po polsku. Sądził poczciwy Langbein, że Sarbiewskiego językiem ojczystym był język litewski, którym, jak wiadomo, tylko wieśniacy w niektórych okolicach mówią. A co większa, Sarbiewski był rodem z Mazowsza, nie z Litwy, lubo na własnych jego dziełach, po śmierci za granicą wydawanych, Litwinem go nazywają. Langbein wyczytał zaś w wspominanym liście Sarbiewskiego do Łubieńskiego następujące wyrazy: Aliae sunt causae, quae mihi calamum manu excusserunt. Popularis istius linguae studium i t. d. Słowa te lingua popularis, oznaczają język polski, lecz tylko co do krasomowskiego doskonalenia się. Pisał jednak niekiedy wiersze, a między innemi Silviludia, albo leśne zabawy. Był towarzyszem podróży królewskiéj do cieplic badeńskich pod Wiedniem, i naówczas złożył modły w rymach o zdrowie króla. Przez lat kilka będąc u dworu, gdy już otrzymał pozwolenie wrócenia się do swoich, nagłą złożony chorobą



Maciéj Kazimierz Sarbiewski.

w Warszawie życia dokonał, roku 1640, 2go Kwietnia, mając lat niespełna czterdzieści pięć. *)

Sarbiewski najwięcéj pisał lirycznéj poezyi: pieśni, ody, epigrammata. Poezya jego nie celuje bogactwem myśli, okwitością pomysłów wyobraźni, ani też nie nosi w sobie uroku, jakie poezyi nadaje namiętne uczucie poety; celuje tylko łatwością i zgrabnością wyrażenia, zadziwia zaś ogólnie, jak zupełnie sobie przywłaszczył język łaciński, język martwy. Treść poezyi Sarbiewskiego, tak gęsto podchlebstwami zarzuconych dla papieża, dla króla i dla różnych osób, nie byłaby Sarbiewskiemu tak wielkiego imienia zrobiła; byłby poetą miernym, nieumiejącym się wznieść nad powszedni sposób myślenia, nie mogącym się otrząsnąć z błędów wieku swego; ale tylko sposób wyrażenia się klassyczny w łacinie zjednał mu imię Horacyusza polskiego. Z tego powodu i od obcych nadzwyczaj ceniony, i do tych rzadkich geniuszów liczony, którzy z starożytnymi o palmę pierwszeństwa walczyć mogą. Po akademiach obok Horacyusza bywał wykładany; dziś się jeszcze w akademii oxfordzkiéj utrzymuje. Ubolewać należy, że miłość łaciny w owym wieku odstręczyła Sarbiewskiego od mowy ojczystéj; byłby doskonałość mowy poetyckiéj w polskim języku do wyższego stopnia posunął, byłby narodowym poetą, do dziś dnia czytanym; dziś zaledwie z imienia w narodzie znanym, mało bywa tłumaczonym. Bentkowski powiada, że Sarbiewskiego częściowo tłumaczyli: Twardowski, Puzyna, Naruszewicz, Wiśniewski Pijar, Albertrandy, Bohomolec, Minasowicz, Przezdziecki. Ja tylko jedno tłumaczenie znam Minasowicza, kilka Naruszewicza. Wiele, bo dwadzieścia kilka było wydań Sarbiewskiego poezyi, wszystkie te edycye przytacza Bentkowski (ob. hist. literatury polskiéj tom I. str. 630); z dawnych ma być edycya za życia autora w Antwerpii roku 1632, najpoprawniéjsza. Z nowszych wydań jest przez Naruszewicza uskutecznione, wielu pogrobowemi pismami jego zbogacone w Warszawie roku 1757; poprawniéjsze i zupełniéjsze jeszcze wydanie zrobił Bohomolec w Warszawie 1769 roku, kładąc na czele dzieł biografią Sarbiewskiego. Prócz wielu kazań łacińskich, zostawił pismo teologiczne pod tytułem: De diis gentium, i kazanie na pogrzebie Jana Stanisława Sapiehy, W. marszałka litewskiego pod tytułem: Laska marszałkowska w Wilnie 1635, jedyne pismo polskim językiem; znane nam jest tylko z cytacyi Niesieckiego. — Przytaczam tu tłumaczenie moje ody II. księgi II. Sarbiewskiego do Publiusza Memiusza, pod napisem: „Ad Publ. Memmium. Vitae humanae brevitatem benefactis extendendam esse.“ Pierwszy wiersz tak brzmi: „Quae tegit canas modo bruma valleis;“ przeto dałem tytuł memu tłumaczeniu:

*) Langbein w edycyi drezdeńskéj Sarbiewskiego mówi: Tumulatus est Varsaviae in templo R.R. P.P. Societatis Jesu, ubi adhuc hodie, sine elogio tamen videtur tumulus. Nikt z narodowych pisarzów niewspomniał o grobowcu sławnego poety; kościół jezuicki w Warszawie przeszedłszy rozmaite koleje, przeznaczony został w roku 1834 Zgromadzeniu X X. Pijarów. Troskliwy o chwałę Bożą teraźniéjszy rektór warszawskiego kollegium i prowincyał całego zgromadzenia, X. Jakób Ciastowski, zajął się starannie, aby jak najprędzéj oddaną sobie świątynią urządzić. W Listopadzie roku 1834, czyszczono także groby dawnego kościoła Jezuitów. Ze szczątków ubioru poznać można było, iż członków zgromadzenia chowano bliżéj wielkich drzwi, a gdzie indziéj świeckie osoby. W pierwszym grobie była trumna stara, w oddzielném miéjscu, w formie żłobu zrobiona, bez wieka, a w niéj głowa, część nogi i ręki; reszty niedostawało. Napis na desce zbutwiałéj był: „P.O ... Laur..... S,“ Z tych kilku liter wniesiono, iż to są zwłoki Sarbiewskiego, i te w osobném miéjscu złożono. Z pewnością jednak za ich autentyczność ręczyć nie można, albowiem robotnicy usunęli zwłoki z miéjsca. Tak więc oprócz medalu, wybitego z woli uczonego monarchy, Sarbiewski niema dotąd pomnika. P. R.

Zima życia. (Z Sarbiewskiego.)

Zima, co w białą szatę doliny ubiera,
Znów je odsłoni, gdy słońce zabłyśnie;
Gdy inna zima, bracie, głowę twą przyciśnie,
Już jéj nic nie ściera;
Szronem i śniegiem obsypie twe skronie.
Przebiegły rączo ci chwile wiosenne,
Lato minęło, za niém dni jesienne
Giną w zimy łonie;
Tylko zima nie minie, skoro ci opruszy
Śniegiem starości twych włosów pierścienie;
Ani wieńce zielone, ni słońca promienie,
Nic jéj już nie wzruszy.
Jedna chwila młodości ciebie nam przysłała,
Jedna cię, przyjacielu, starość nam wykradnie;
Lecz tylko sława, którą czas nie władnie,
Zostaje jak skała.
Ten tylko długo żyje, czyją śmierć ziomkowie
Długi czas opłakują; – wszystko zniknie w grobie;
Lecz sława, twa dziedziczka, w przyszły wiek o tobie
Przychodniom opowie. W. A. W.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)